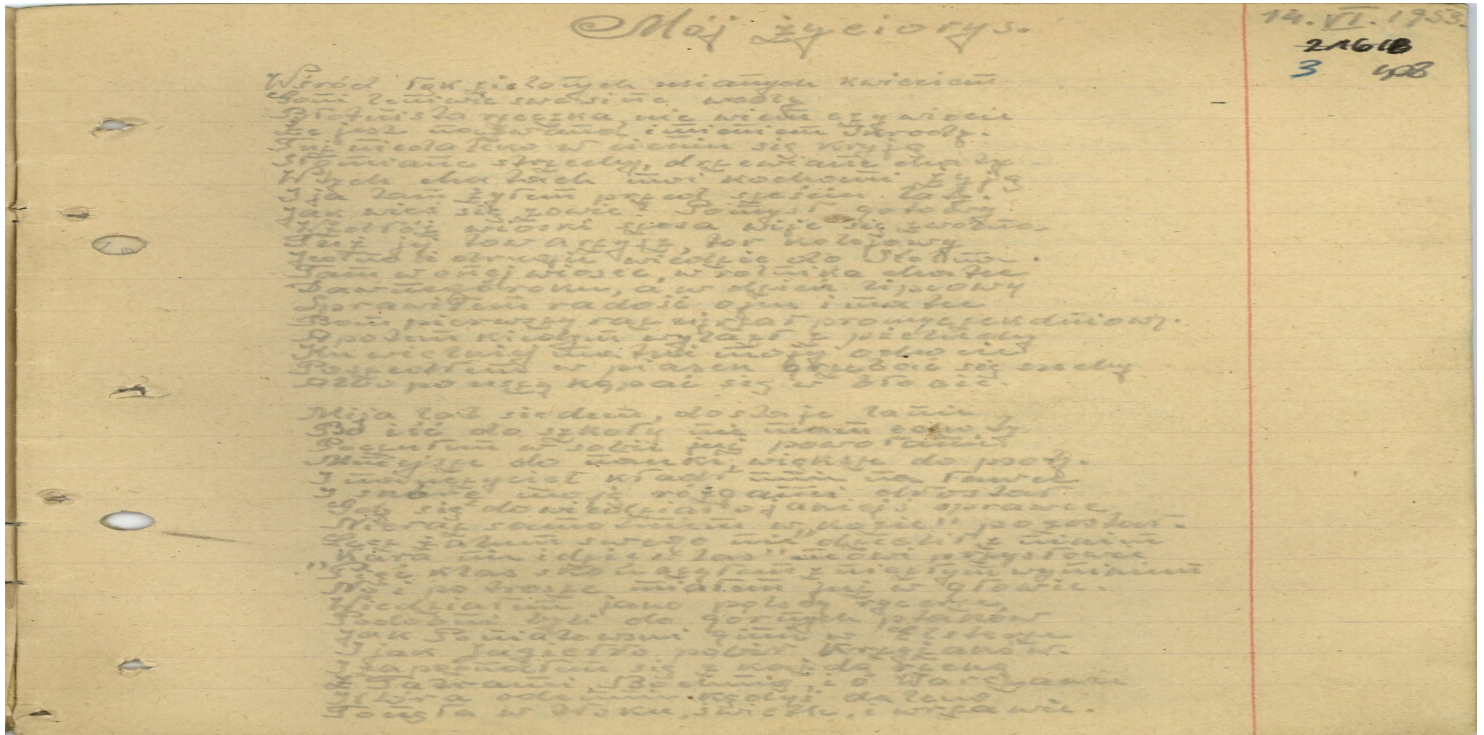


# Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/128988,Mieczem-swej-piesni-Marian-Borys-Czarny-19271954-i-jego-utwory-poetyckie.html>



Fragment rękopisu „Mojego Życiorysu”, (z zasobu IPN)

## ARTYKUŁ

### „Mieczem swej pieśni”. Marian Borys „Czarny” (1927-1954) i jego utwory poetyckie

## OKRES HISTORYCZNY

(1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej (1948-1956) Stalinizm w Polsce

Autor: MICHAŁ OSTAPIUK 06.10.2026

Marian Borys „Czarny” należał do pokolenia poetów żyjących w „czasach nadaremnych”, których dojrzewanie przypadło na lata wojny i okupacji. Niewiele jednak łączyło jego drogę z losami najbardziej znanych poetów tego

## pokolenia – Krzysztofa Kamila Baczyńskiego czy Tadeusza Gajcego.

Borys wychował się na wsi, z dala od środowisk literackich, a swoje wiersze pisał jako partyzant, przez wiele lat pozostający w konspiracji. Inne były miejsca i okoliczności ich walki, podobny okazał się jej kres – wszyscy – będąc świadkami klęski – zginęli młodo.

### **Powrót do konspiracji**

Zanim przedstawimy zachowane utwory „Czarnego”, skrótkowo przedstawimy jego losy oraz najważniejsze doświadczenia, które znalazły odbicie w jego twórczości.

Na początku 1947 r. skorzystał z komunistycznej „amnestii”. W grudniu tego samego roku funkcjonariusz PUBP w Kolnie, Józef Prokop, zmusił go do podpisania zobowiązania do współpracy. Borys nie podjął działalności agenturalnej – zerwał kontakt z UB i zaczął się ukrywać.

W styczniu 1948 r. nawiązał kontakt z plut. Stanisławem Waszkiewiczem „Piskorzem”, szefem Pogotowia Akcji Specjalnej Komendy Powiatu NZW „Łużyca”–„Łuków”. Po złożeniu przysięgi przyjął pseudonim „Czarny”. 17 października 1948 r. został mianowany sekretarzem Komendy Powiatu NZW „Łuków”. Prowadził dokumentację organizacyjną i finansową, opracowywał informacje wywiadowcze i przygotowywał rozkazy, a jednocześnie pozostawał żołnierzem patrolu bojowego.

„Czarny” działał następnie pod komendą sierż. Bronisława Chrzanowskiego „Orła”, a później chor. Hieronima Rogińskiego „Roga”. Po śmierci Rogińskiego 18 kwietnia 1952 r. przejął dowództwo nad resztkami struktury.

### **Ostatni akord**

„Czarny” nie był w stanie rozbudować podległych sobie konspiracyjnych ogniw. W walce z komunistycznymi siłami ginęli kolejni jego podkomendni, kurczyła się liczba bezpiecznych kwater, a aparat bezpieczeństwa coraz skuteczniej dekonspirował osoby udzielające partyzantom pomocy.

7 listopada 1953 r., podczas próby zatrzymania autobusu PKS w okolicach Rogienic, „Czarny” został ciężko ranny. Cztery dni później w Dudach Puszczańskich zginęli Stanisław Grajek „Mazur”, Aleksander Góralczyk „Topór” i Władysław Sadłowski „Twardy”.

„Czarny” przetrwał jeszcze kilka miesięcy. 12 sierpnia 1954 r. w pobliżu Zaskrodzia wpadł w przygotowaną przez aparat bezpieczeństwa zasadzkę i zginął podczas próby wydostania się z okrążenia. Miał 27 lat. Miejsce

ukrycia jego ciała pozostaje nieznane.



Od lewej: st. strzel. Marian Borys  
„Czarny” i kpr. Stanisław Śledzik  
„Huragan”, ok. 1950 r., (fot. z  
zasobu IPN)

## Unikatowy wgląd w partyzanckie życie

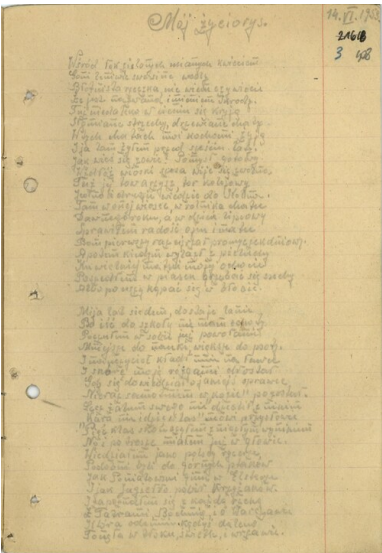
Twórczość poetycka Czarnego towarzyszyła mu na różnych etapach konspiracji. Najstarszym zachowanym datowanym utworem jest „Poryte”. Wiersz odnosi się do walki z 16 września 1948 r. W ukończonym 14 czerwca 1953 r. „Moim życiorysie” oraz w niedatowanym bliżej wierszu rozpoczynającym się od słów „Ciemność swe skrzydła...” dominuje motyw samotności, śmierci współtowarzyszy i zbliżającego się końca.

Do naszych czasów zachowały się trzy wyżej wymienione utwory Borysa. W „Moim życiorysie” wspominał, że wcześniejsze próby poetyckie niszczył. Utwory są nierówne pod względem literackim, jednak ich znaczenie dla niniejszej publikacji wynika przede wszystkim z wartości źródłowej.

W przypadku ostatnich żołnierzy podziemia antykomunistycznego dysponujemy przede wszystkim dokumentacją wytworzoną przez aparat bezpieczeństwa lub organizacje konspiracyjne. Wiersze Borysa powstały w czasie jego działalności w konspiracji i dokumentują jego sposób postrzegania własnej sytuacji

oraz warunków partyzanckiego życia.

Publikowane niżej teksty przepisano z rękopisów, pomocniczo konfrontując je z odpisami maszynopisowymi.



Fragment rękopisu „Mojego  
Życiorysu”, (z zasobu IPN)

\* \* \*

14 VI 1953 r.

**Mój życiorys**

Wśród łąk zielonych, usianych kwieciem  
Goni leniwie swe sine wody  
Błotnista rzeczka, nie wiem, czy wiecie  
Że jest nazwana imieniem Skrody.

Tuż niedaleko w cieniu się kryją  
Słomiane strzechy, drewniane chaty  
W tych chatach moi kochani żyją,

I ja tam żyłem przed sześciu laty.

Jak wieś się zowie? Pomysł gotowy  
Wzdłuż wioski szosa wije się z wolna.  
Tuż jej towarzyszy tor kolejowy  
Jedno i drugie wiedzie do Kolna.

Tam w onej wiosce, w rolnika chacie  
Dawnego roku, a w dzień lipcowy  
Sprawiłem radość ojcu i matce,  
Bom pierwszy raz ujrzał promyczek dniowy.

A potem kiedym wylazł z pieluchy  
Ku wielkiej matki mojej ochocie  
Poszedłem w piasek grzebać się suchy  
Albo po uszy kąpać się w błocie.

Mija lat siedem – dostaję lanie,  
Bo iść do szkoły nie mam ochoty.  
Poczułem w sobie już powołanie:  
Mniejsze do nauki, większe do psoty.

I nauczyciel kładł mnie na ławce  
I skórę moją różgami chłostał,  
Gdy się dowiedział o jakiejś sprawce.  
Nieraz samotnie w kozie pozostał.

Lecz żalu swego nie dzielił z nikim,  
„Kara nie idzie w las” – mówi przysłowie.  
Pięć klas skończyłem z niezłym wynikiem,  
To i po trosze miałem już w głowie.

Widziałem jako polscy rycerze  
Podobni byli do górnych ptaków,  
Jak Poniatowski ginął w Elsterze  
I jak Jagiełło pobił Krzyżaków.

I zapoznałem się z każdą rzeczą,  
Z Tatrami, Bochnią i o Warszawie,  
Która ode mnie kędyś daleko  
Tonęła w tłoku, ścisku i wrzawie.

Wybuchła wojna, koniec nauki.  
Już lat dwanaście w ony czas miałem.  
Znowu stroiłem psoty i sztuki  
I wstyd powiedzieć – krowy pasełem.

Tu żem się pobił ze swemi kolegi,  
Tam zrzucił z gniazda potomstwo wronie,  
Jam sport uprawiał, skoki i biegi  
I ujeżdżałem ojcowskie konie.

A ojciec na mnie czule spoglądał,  
Bo z wszystkich serc ojca jest najłaskawsze.  
Nigdy nad siły pracy nie żądał:  
„Jeszcześ za mały” – mówił mi zawsze.

Nie znałem głodu, mleka i chleba,  
Zawsze w mym domu było po uszy.  
A czegoż więcej jest mi potrzeba,  
Jestem szczęśliwcem – myślałem w duszy.

Kłótnia rodzinna była nam obca,  
W bardzo przykładowej żyliśmy zgodzie.  
W tej atmosferze wzrosłem na chłopca,  
Którego siła piorun przechodzi.

Mówiłem dużo, śmiałem się za stu,  
Dla słabszych byłem pełen litości.  
Tak dożyłem lat osiemnastu  
I już żądałem prawa do miłości.

Lecz w tej dziedzinie przyznać się muszę,  
Żem nie opływał w szczęście obficie.  
Jednej oddałem serce i duszę  
I pokochałem na całe życie.

Ale cóż z tego? Byłem jej wstrętny,  
Sam nie wiem czego, wszak byłem młody.  
Choć nierozsądny, ale namiętny,  
Choć mi rumieniec kreślił jagody.

No ale trudno, cóż było robić?

Miałem kolegów, dobre koleżki.  
Nieraz mi z nimi przyszło się pobić  
Wśród koleżeńskiej naszej zamieszki.

I mówiąc dalej, byłem łobuzem,  
Skory do bitki przy głupim słowie.  
Często chodziłem na głowie z guzem,  
Czym guza nabił na czyjejs głowie.

Lecz kłótnie nasze trwały zbyt krótko,  
Bo mnie czas potem upływał w męcę.  
Znów dawną przyjaźń skrapiałem wódką  
I znów w uścisku splataliśmy ręce.

Bo w gruncie rzeczy kochałem ich bardzo,  
Jam też nawzajem miałem ich wielu.  
I ja, i oni wódką nie gardzą,  
Więc częstośmy spędzali czas przy butelce.

I wspólnie w naszym młodzieńczym kole  
Były bez troski i niczym piosenki,  
Wspólne rozkosze, wspólne swawole,  
Wspólne zabawy, wspólne panienki.

Dobrze się działo – jakbym się cieszył,  
Gdyby te chwile się przedłużały.  
Ale przeciwnie, bo los się spieszył  
I już niedługo skończyć się miały.

Kocham grono. Serca ich smucę,  
Kiedy im mówię: „Bywajcie zdrowi”.  
Odchodzę od was, nie wiem czy wrócę,  
Na mnie czekają koledzy nowi.

Mam lat dwadzieścia. W Polsce w tym czasie  
Sroży się reżym hasłem terroru.  
Jam pas i mundur nałożył na się,  
Automat w rękę i marsz do boru.

Poszłem, bo jakoś mnie było smętnie,  
Kiedym pomyślał – bardzom żałował.  
Bom ciebie, ziemio, kochał namiętnie

I ciebie, ludu mój, umiłował.

Poszłem, by nieść pod twoją strzechę  
Pieśń wolnej Polski, świat stworzyć nowy,  
I tobie, ziemio, chciał nieść pociechę,  
Choćby łzy ronić na twe okowy.

Przeżyłem dużo, cierpiałem wiele,  
Nieraz padałem w marszu zmęczony.  
Jak mi życzyli nieprzyjaciele?  
Ale ja do krwi zaciskał wargi.

I wszystko z mężnym uporem znosił,  
Nikt nigdy z ust mych nie słyszał skargi,  
Ani też nigdy łaski nie prosił.

Tęsknotą rzewną powlókł źrenice  
Co memu sercu było ołowiem.  
Dziś o niej zmilczę tę tajemnicę,  
Może w przyszłości kiedyś opowiem.

Ona zrodziła chęć wiersze pisać,  
Lecz ledwie kilka zdołał ich scalić.  
Wnet śmierć zdawała się mną kołysać,  
Byłem zmuszony w cieniu je spalić.

Niewielka strata – wiersze ułomne,  
Którymi wiele nie śmiał się szczycić,  
Za płytkie ognie zniecić w potomnych,  
Same musiały ogień podsyć.

Coraz to gorzej z nami się działo,  
Przytłaczające są wroga siły.  
Wielu poległo z bojową chwałą,  
Spójrz – drogę moją znaczą mogiły.

Na horyzoncie promyk znikomy,  
Słodką nadzieję rozjaśnia lice.  
W chwilach, gdy braćmi byli mi gromy,  
A kochankami mgły i śnieżyce.

Krew i łzy lałem i byłem ranny,

Mordercza kula ramię mi wierci.  
Lecz za pomocą Najświętszej Panny  
Niejednokrotnie wydarł się śmierci.

I tak minęło już sześć lat z bliska,  
Gdym złożył życie na stos ofiarny.  
Gdy mi przestano mówić z nazwiska,  
Z pseudonimu zwano mnie „Czarny”.

I dziś – o, w żadnym nie zamknę słowie,  
Jaki w mym sercu ból się przelewa.  
Tego żadnymi usty nie powie,  
Ani też lutnia ni pieśni wyśpiewa.

Bo gdy mijały tak rok po roku,  
Mnie coraz cięższa mroczyła cisza.  
Dziś się oglądam – u mego boku  
Nie mam żadnego współtowarzysza.

Wszyscy zginęli, wszystkich śmierć mroczy,  
A gdzieby jeszcze pozostał który,  
To pewnie jak ja łzawymi oczy  
Patrzy samotnie na ruin góry.

Patrzę, a kraj mój pomocy woła,  
Niewolniczymi okowy dzwoni.  
Słucham – nie mogę w górę wznieść czoła  
Ani poddźwignąć żelaza w dłoni.

Na wykończeniu są siły moje,  
Życie ode mnie chyłkiem odbiega.  
Wnet zwyciężony złożę swą zbroję  
I się ulotnię szeptem pacierza.

Ale, o Boże, pozwól mi pożyć  
Choć do tej chwili, niech sprzyja zdrowie,  
Bym mógł tak samo swe kości złożyć,  
Jako składali moi ojcowie.

Kiedy umarli w późnej siwiźnie.  
Ja już nie pragnę późnego wieku,  
Ja tylko pragnę w wolnej Ojczyźnie

Spocząć pod ojców czułą opieką.

Będę spokojnie spoczywał sobie,  
Chociaż się pamięć o mnie zatraci,  
Gdy mi spoczynku nie zmaci w grobie  
Jęk mordowanych moich współbraci.

O Polsko, Polsko, gdyby me imię  
Było imieniem wieszcz-poety,  
Tobym na górnym wyniósł Cię rymie,  
Poddźwignął z martwych twoje szkielety.

Będąc przeszłości twojej przytomny,  
Zbroję by twoją oczyścić z pleśni,  
Ale, Ojczyzno – jam zbyt ułomny,  
Bym mógł Cię oswobodzić mieczem swej pieśni.

„Czarny”

\* \* \*

*14 lutego [rok nieustalony]*

### **[Ciemność swe skrzydła wokoło roztoczy]**

Ciemność swe skrzydła wokoło roztoczy  
W krąg mnie swoimi omotała sieci  
I czybym zamknął, czy otworzył oczy  
Mnie jednakowa ciemnica wciąż mroczy  
Mnie wiatr nie wieje, mnie słońce nie świeci.

Ziemia – ja pod ziemią – a niebo wysoko  
Zgubiony wędrowiec w labiryncie dróg  
Tylko z myślami – a myśli się wloką  
Straszne jak trupy spryskane posoką  
Jak nocny korowód potępionych dusz.

O zbliż się do mnie, o weź mnie kochanie  
W swe białe, a silne jak śnieżne ramiona  
Bo zdaje mi się, że lecę w odchłanianie

Na długie w mękach samotne konanie  
Że już mnie wieczysta powłóczy zasłona.

O gdybym w dzisiejszej rozterce  
Z tej nocy, z tej burzy i cieśni  
Ułożył pieśń o swej żołnierce  
Pewnie by zadrżało Twe serce  
Pewnie byś nie chciała tej pieśni.

Bo pieśń ma umarłych nie cuci  
Lecz żywych zabija swym gromem,  
Kto pieśń mą raz w życiu zanuci  
Ten życia nie zazna – ten wróci  
Gdzie był, nim był życia świadomem.

Już ostatnim nadziei przebłyskiem  
Ogarniam tych ogni płomienie  
Bo świat mój jest wielkim ogniskiem  
I kresu już czuję się bliskim  
Już z wolna zapadam w omdlenie.

Gdy mi życie nie było piorunem  
Gdym brał do ręki gitarę  
Gdy byłem radości zwiastunem  
Gdym wśród burz się bratał z piorunem  
Lud wówczas mnie kochał nad miarę.

A dziś, gdy me serce się kruszy  
Grozą zmrożone i trwogą  
Gdy ognie szaleją w mej duszy  
I zewsząd się los zawieruszy  
Nie masz – ach, nie masz nikogo.

„Czarny”

\* \* \*

### **Poryte**

Słońce wschodziło przybrane bogato,  
W swą gorejącą na ramionach szatę

I pierwsze swoje skierowało kroki  
Na jasne nad ziemią rozpięte obłoki.  
Z początku całe spłonione nieśmiało  
Jako zawstydzona, a piękna dziewica,  
Promienie swoje na ziemię ciskało,  
Ale wstyd ten powoli gasnął z jego lica.  
Czym było wyżej, tym świeciło śmielej,  
Już wyglądało przez drzew konary,  
I pięło się wyżej i coraz weselej,  
Zaglądało wszędzie do najmniejszej szpary.

I tym zajrzało, gdzie myśmy w półkole  
Znużeni spali na sianie w stodole.  
Kto śpi, chwil nie liczy, jak i pory nie ma,  
Więc nam się zdawało, że to jeszcze rano,  
Gdy wtem służbowy nas gwizdkami trzema  
Budzi i woła, że obiad podano.  
Zbudzeni wszyscy usiedliśmy w kole.

Ten coś powiedział, drugi śmiać się zacznie,  
Czas przy tym upływał jakoś wesoło,  
I obiad każdy z nas zjadał smacznie.

Było nas siedmiu, nikt przeczucia nie miał,  
Że nasz gospodarz wściekł się, czy oniemiał,  
Bo któż by pomyślał, że on by nas zdradził.  
A już tu czasem od samego świtu  
Wróg swoje wojska w pobliżu gromadził,  
A był przed słońcem, nim zejdzie z błękitu,  
Napaść z nienacka, z większą siłą skoczyć,  
Zmiażdżyć, podeptać i krew z nas wytoczyć.

My jeszcze dotąd przeczuciem nie tknięci,  
Każdy z nas siedział boso bez mundura,  
Już druga godzina nam wyszła z pamięci,  
A tu tymczasem wrogów ciemna chmura,  
Jak okiem rzucić, tak zewsząd się zbliża.  
Tak ci bezbożni, małoduszni Żydzi,  
Co ciało Zbawcy przybili do krzyża,  
Tak i z nich każdy zbrodni się nie wstydzi.

Jeszcze chwila krótkiej ciszy i spokoju,

Gdy nagle rakiety huknął strzał czerwony  
I rozpadł się echem w cztery świata strony.  
To hasło wroga rzucone do boju.

Wzrok nam zapłonął i bez cienia trwogi,  
Wszyscy jak na komendę stanęliśmy na nogi.  
Każdy swe pasy naciągał z pośpiechem,  
Nie jeden może żegnał się ze światem,  
Lecz działał szybko i z szybszym oddechem,  
Chwytał automat i sam był automatem.

Wróg ział już ogniem nieprzerwanym, pewnym,  
Tak jako nieraz czarna chmura leje  
I strugami deszczu lub gradem ulewnym,  
Że nie ma nawet o tym myśleć mowy.  
Trzeba słodkie od siebie odepchnąć nadzieje,  
Że cało spod nich się wyniesie głowę.

Jakoś wróg nie puścił i coraz to nowym  
Ogarniał zewsząd nas ogniem krzyżowym.  
Ze wszystkich stron naraz lały się pociski  
Tchnące bladością i trupim zapachem.  
Wróg stał naszym oczom widomy i bliski,  
Lecz nie napełnił dusz naszych przestrachem.  
Choć jego dziesiątki – a nas siedmiu było,  
I wszyscy siedmiu stalim przed mogiłą.

Cofnąć się dwa razy byliśmy zmuszeni,  
Nie można było wrogiej zapory obalić.  
Wtem krzyknął dowódca: „Palić dachy i palić!”  
Niechaj nam pomoże dym i żar płomienia.

Czwororamienny ogień z naszej raketnicy  
Wypadł jak piorun z jasnej błyskawicy.  
Przebiwszy dachy w środek się pogrążył.  
Zdawało się, że zaraz – tak nam czas się dłużył.  
A ten nagle, nimby okiem mrugnąć zdążył,  
Ognistym językiem na świat się wynurzył.  
Ogarnął zagrodę, wpędce się rozniecił  
I całej okolicy pożarem zaświecił.

My tym płomieniem i dymem owiani,

Jak jacyś z bajki rycerze zakłęci,  
Albo ci, co do piekła byli żywcem wzięci,  
Grudami ziemi i potem zalani.  
Skrwawione po łokcie wyciągnęlim dłonie,  
By nimi otworzyć pierścienia kolisko.  
W szalonej pogoni i w dzikiej obronie  
Podobni bylim matce, która nad kołyską  
Przeklina, płacze, bluźni, zrozpaczona,  
Gdy jej dziecko jedyne w tej kołysce kona.

Parliśmy naprzód – pod naszym naporem  
Barykada wroga грузem się sypała.  
Wnet otwór zaświecił, myśmy tym otworem  
Runęli ciężarem żelaza i ciała.

Wtem jeden z nas upadł cicho i bez jęku,  
Za pierś się chwycił kilkakroć dziurawą.  
Automat wypuścił ze struchlałych ręku,  
Spojrzał raz jeszcze niemy bitwy głosem.  
Oczy mu się powlokły powłoką białawą  
I dusza uleciała ku jasnym niebiosom.

Lecz pierścień rwie się i wyłom się szerzy,  
Nie słysząc komend, nie słysząc rozkazu,  
Nie słysząc jęku rannych żołnierzy.  
To obraz do strasznego podobny obrazu.  
Jedno kłębowisko, dym, ogień, kurzawa,  
Zdawało się, że ziemia tym rwie się i płonie.  
Ktoś by powiedział: i kończy się rzeź krwawa  
I stygnie żelazo i mdleją nam dłonie.  
Nastąpiła bowiem chwila milczenia,  
Jakoby oddechu zabrakło pożodze.  
Jakoby zastygła w bojaźni i trwodze,  
Patrząc na dzieło swojego zniszczenia.  
Na krótko, bo znowu gwałtownie się zerwie.  
Trzask zamków, huk ognia, że aż grozę budzi.  
Dziw, że się niebo na nich nie oberwie  
W ten huk i ogień i w tych wściekłych ludzi.

I wre bitwa dalej, a w dalszą jej miarę  
Śmierć upatrzyła z nas drugą ofiarę,  
I drugi legnął na szarych pól między

I może tchem już przedostatnim dyszał.  
Padając jęknął: „Dobić mnie, koledzy”,  
Ale głosu jego mało kto dosłyszał.

„Bij!” – brzmi komenda. A gdy w ładownicy  
Nie masz naboji, bij silnie ramieniem.  
Zwartych ust przekleństwem, piorunem żrenicy,  
Kolbą karabinu, oddechem, płomieniem.  
Śmierć albo życie – tu nie ma różnicy.  
Naprzód! Prysnał pierścień, już my za pierścieniem  
Przeszliśmy, przeszli i tylko za nami  
Została droga usłana trupami.  
Tamże dwaj nasi w purpurze na ziemi

Spoczywają między trupami wrogimi,  
Ale już w przyjaźni i wrodzy, i nasi,  
Jak śmierć wraz z życiem gniew i zemstę gasi.

Słońce już do snu swą głowę chyliło,  
Czarną jak żałobą chmurą się zakryło,  
I oczy swoje zamykało smutnie,  
Jakby nie chciało patrzeć, jakie w tej dolinie  
Zdrady, morderstwa i zbrodnie, i kłótnie,  
Że lud się nawzajem morduje i ginie.  
Powoli na ziemię schodziła noc czarna,  
Już z pola trupy i rannych zabrano.  
I nie tylko cisza została cmentarna,  
I krążył duch śmierci, aż odleciał rano.

„Czarny”

*Czw., 16 IX 1948 r.*

COFNIJ SIĘ